Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 34. Poznań, dnia 18. Listopada. **1839.**

Literatura zagraniczna.

O r c o.

Z Maitres Mosaistes par George Sand.

(Opowiadanie kobiety.)

Jedna z tych trzech sióstr, najpiękniejsza, najdumniejsza i najszczęśliwsza, umarła w końcu zeszłéj zimy, téj nocy, w któréj bal maskowy był w pałacu Servilio. Wiele cierpiała, wiele przeciwności pokonała; nareszcie nagłéj uległa śmierci. Wszyscy ją tutaj (w Wenecyi) mniéj więcéj znali, ale nikt jéj tak dobrze nie znał, jak ja. Jéj życie było piękne, pełne sprzeczności, tajemnicze, świetne, wspaniałe, a tak przytem smutne, surowe, ogniste, rozkoszne; zgoła było to dziwne połączenie wszystkich namiętności ludzkich. Niczyje życie, niczyja śmierć niebyła jéj życiu, jéj śmierci podobna. Umiała ona z swego życia wytępić nikczemną rzeczywistość i nie zostawić nic w niém, jak tylko *poezją*. Nie ukazywała się, jak o zmierzchu dnia, zawsze w masce, zawsze sama. Niemasz mieszkańca w całéj Wenecyi, któryby jéj nie spotkał błąkającéj po ulicach, któryby nie widział jéj gondoły na jakim kanale, chociaż nikt nie dostrzegł, żeby w nię wchodziła lub z niéj wysiadała. Gondoła jéj nie była strzeżona; przecież jéj nie ukradziono. Była tak malowana i zbudowana, jak inne gondoły; przecież każdy ją znał, dzieci nawet wskazywały ją sobie, mówiąc: »oto jest gondoła maski!« — Nie wiedział nikt, kiedy odbijała od brzegu, dokąd płynęła, gdzie przybijała. Celnicy nadbrzeżni nieraz widzieli czarny punkt przesuwający się, jak cień koło wybrzeżów, a biorąc go za czołno przemycacza, uganiali się za nim aż na otwarte morze; lecz gdy dzień nadszedł, nie ujrzeli nic, coby do przedmiotu ich pogoni było podobne; nakoniec przyzwyczaili się do tego zjawiska i wskazywali go sobie: »otóż znów gondoła maski!« — W nocy maska przebiegała miasto, szukając, niewiedzieć czego. Widywano ją na wielkich placach, w najciaśniejszych ulicach, na mostach, w przedsionkach wielkich pałaców, w miejscach najbardziéj i najmniéj zwiedzanych. Raz wolno, drugi raz szybko chodziła, nie zatrzymując się ani w ciżbie, ani w miejscach samotnych. Zdawała się na nic nie zważać, tylko z ciekawością wpatrywać się w domy, w pyszne budowle, gmachy, pomniki, kanały lub w niebo i poić się rozkoszą tego widoku. Gdy spotkała osobę sobie przyjazną, dała jéj znak, aby za nią szła, i zniknęła z nią. Ileżto razy zaprowadziła mnie takim sposobem w miejsce odludne, gdzie ze mną o ulubionych rozmawiała przedmiotach. Udawałam się wszędzie z zaufaniem za nią, lecz wiele osób, których wzywała, niemiało dość odwagi, aby być jéj posłusznymi. Najdziwaczniejsze o niéj krążyły wieści, i mówiono, że wiele młodych ludzi pokochało się w niéj jużto dla szczególnego tajemniczości uroku, który pokrywał jéj życie, już też dla jéj pięknéj postawy, a lekkomyślnie udawszy się za nią, nigdy już niewracali. Policya nawet dostrzegłszy, że wszyscy ci młodzieńcy byli Austryakami, wszelkich używała sposobów, aby ich wynaleźć lub też poimać tę, którą o ich zatratę oskarzano. Ale szpiegom nie szło pomyślniéj, jak celnikom; nie dowiedziano się nic o młodych cudzoziemcach, nie zdołano także pochwycić maski. Jedno zdarzenie odebrało wszystkim odwagę: dwóch najgorliwszych siepaczy tajnéj policyi przedsięwzięło czekać na maskę w jéj gondoli; ukryli się więc w téjże i całą noc tak przeleżeli, nareszcie nad ranem zdawało im się, że ktoś odwięzuje łódkę; — wstają, chcąc pochwycić swą zdobycz, gdy w tém gwałtowne uderzenie nogą przewróciło gondołę; — jeden z policjantów utonął, drugiemu przemycacze ledwo uratowali życie. Policja nazajutrz szukała trupa i przewróconéj gondoły, lecz napróżno; — na wieczór znów w tém samém miejscu gondoła była przywiązana. Od tego zdarzenia postrach zabobonny wszystkich ogarnął, i nikt nieśmiał już maski ani gondoły niepokoić. — Przeszłoroczněj jesieni przybył tu na garnizon oficer austryacki, hrabia Franz Lichtenstein; — byłto zapaleniec młody pełen szlachetnych uczuć i wielkich myśli. Pomimo

złego wychowania, wychowania wielkiego pana, otrząsnął się z wszelkich przesądów i zachował w swém sercu zamiłowanie wolności. Położenie jego zmuszało go do ukrywania swych uczuć, lecz skoro służbę porzucił, spieszył pomiędzy nowych przyjaciół, aby wylać przed nimi tajemnice serca. Oko jego było okiem znawcy; takiém patrzał na Wenecyą, ubolewając zarazem nad jéj niewolą. Mawiał nam często, że chce Wenecyą lepiéj poznać od tych, co się w niéj zrodzili. W tym celu zwykle wieczorem odbywał przechadzki i spotykał maskę. Uważał on, że maska w swych przechadzkach ten, co on ma cel. Wszystkie zastraszające o niéj wieści zamiast, iżby go miały odwieść od zabrania znajomości z nią, wzbudziły w nim tym większą ciekawość. Chcąc względem maski zachować *incognito*, przebrał się po cywilnemu. — Księżyc jasno właśnie w ówczas świecił, gdy ją spotkał stojącą przed kościołem Św. Jana i Pawła. Wpatrywała się w delikatne ozdoby kościoła; hrabia zbliżył się do niéj w milczeniu; — tuż przy niéj stanąwszy, usłyszał śpiewanie zupełnie ciche, tak, że niemógł słów rozróżnić; lecz poznawszy po melodyi pieśń ludu, którą już nieraz na placach publicznych był słyszał, począł jéj wtórować; — maska bardziéj głos podniosła; — śpiew zakończyli melodyjnym akordem. — »Pozdrowienie« rzekł hrabia, »i błogosławieństwo tym, którzy Wenecyą kochają!« — »Któż jesteś?« rzekła maska głosem pełnym, mocnym, a nadzwyczaj miłym. — »Jestem wielbicielem, kochankiem tego, co piękne.« — »Czy należysz do tych, co gwałcą piękność wolną? czy do tych, co uklękną przed pięknością w niewoli i razem z nią zapłaczą?« — »Gdy król nocy ujrzy różę niewinnie kwitnącą pod powiewem wiatru bije skrzydłami i śpiewa, gdy ją widzi więdnącą pod szturmem burzy, chowa głowę pod skrzydło i wzdycha. — Tak czyni dusza moja.«, — »Idź więc za mną, gdyż jesteś jednym z mych wiernych!« a uchwyciwszy go za rękę, pociągnęła go za sobą ku kościołowi. Zimna ręka, która go trzymała, śmiałość poruszenia i przypomnienie nagłe wszystkich krążących o niéj powieści, stra-chem go przejęło; — zatrzymał się. — Maska wpatrzyła się w bledniejącą twarz badawczym wzrokiem. »Lękasz się! Bywaj zdrów!« i puściwszy go oddalała się. On, zawstydzony swoją słabością, rzucił się za nią i rzekł: »Nieboję się! idźmy!« — »Nigdy!« odrzekła i szła daléj; lecz już nie do kościoła, lecz w ciasną uliczkę. Księżyc tymczasem zaszedł i ciemność okropna zasłaniała hrabiemu wszystkie przedmioty; niewidział, gdzie idzie; szedł na oślep za swą przewodniczką.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Literatura krajowa.

Poezya.

Ruiny Halicza.

Rzucałem wzrokiem szeroko —
Tu płaszczyzna w dalekiéj rozlana przestrzeni
Gęsto ruskiemi ubarwia się sioły,
Bliżéj miasteczko, tam skały brzeg goły
Szumiącą wodą głęboki Dniestr pieni;
Podemną gruzy stare wiekami umszone,
Którym się teraz wiatr urąga dziki;
Milczące i zasępione
Wód szumiących i wiatrów słuchają muzyki;
Takimże to widokiem mam napasać oko!

Gdzież są wody o Dniestrze, które dumnym płynem
Pyszną Rusi stolicę w swem odbiły łonie,
Gdzież stolica trzech ludów przystrajana tronem,
Gdzież dzielny lud Sławianów, który żył w twém łonie?
Tu mężny Węgrzyn, staczał harc z Rusinem,
Tu świetne Lecha błyszczały szeregi,
I Kniaź i Węgrzyn bił przed nim pokłonem,
I w krwi niewiernych kąpały się brzegi;
A szumna woda krwią pieniące fale
Niosła w Krępaku skaliste bezdroża,
Tu Wiśle laury przynosiła w dani,
Tam groźną trwogą leciała do morza.
Wiatry co dzisiaj tęskne świszczą żale,
Posłańce grodu — ziem Halickich pani,
Hołdy poddaństwa dla dzielnéj prawicy
Staréj Lechitów śpiewały stolicy.

Zanućcie, wichry szyderskiemi tony
Szczątkom rozwalin te hymny przystoją.
Dniestrze! milczeniem obce pozdrów strony,
Już się Halicza zamorcy nie boją. —
Bo gdzież te mury najeżone spiżą?
Gdzież jest sąsiadom groźne niegdy plemie?
Wiatry bezpiecznie stare gruzy liżą,
W nich nocną porą puhacz się rozśmieje,
A kmieć ozięble porząc pługiem ziemię,
Swą piosnką tylko budzi dawne dzieje.

I piosnka z wiatrem w powietrzu skonała,
Choć dźwięk jéj jeszcze głośno w uchu dzwoni;
Tak myśl w przeszłości za tym światem goni,
Który obecność w pyle zagrzebała.
Lecz darmo dusza wspomnieniem się łudzi,
Gdy oko w śladach zatonie zniszczenia:
Pacierz na grobie, trupa nie obudzi,
I chwila wspomnień jest rokiem cierpienia.
Garstkę tych gruzów wzniosło rąk tysiące,
Tysiące świateł w świątyniach błyszczało,
Snuły się hufce i orszaki lśniące,
Wrzawą weselną powietrze śpiewało. —
Dziś grobu cisza osiadła ruiny,
Robaczek z prochu gruzów się wywleka;

Tyś więc robaczku jest dziedzic jedyny
Potęgi, sławy, wielkości człowieka!
O pełzaj śmiało po obszernym grodzie
Cienie tych prochów nie zetrze ci głowy,
A noc, co w nowym osiadła narodzie
Nim sennych czoła dnia światłem ustroi,
Nie jeden za mną przychodzień nowy
Produma, — westchnie, i łzą się napoi! —

J. B.

Myśli po przeczytaniu Pamiętników Maciejowskiego o dziejach Słowian.

Pisma Maciejowskiego o Słowiańszczyznie należą do tych, które w rzeczach niezmiernie starych zadziwiające wykrywają nowości. Pisarze, którzy sobie obierają podobne prace, są zawsze niepospolitéj wyobraźni, a bardzo głębokiéj nauki. Łatwość zaś w przyjmowaniu nieźródeł za źródła jest właśnie tą rószczką czarnoksięską, za pomocą któréj spruchniałe wieki stawiają w pierwotnéj młodości. U nich wszyscy historycy, którzy ich samych uprzedzili i podaniami wspierają, muszą stać w jednym szeregu, w jednéj godności, z równą powagą, czy który sam na rzecz patrzał, czy ją z opowiadania opisał, czy u innego wyczytał, czy nakoniec z powieści lub piosnki wywnioskował; dzieła prawodawcy i poety jednakowe stanowią dowody.

W czasach, w których historycy całéj Europy wiążą podania z napisów na pomnikach, kilku przywilejów, kronik kościelnych, u Maciejowskiego wszystko wywiedzione pewne, jak gdyby świeżo pod kolumną Zygmunta, a najdaléj przed miesiącem na placu ujazdowskim się działo.

Tego niezaprzeczamy, że podobne dzieła są bardzo powabne: w ich początku napotyka się iskra myśli, która daléj goreje płomieniem, a na końcu ćmi blaskiem światła, jak słońce, — to jest z przypuszczenia wchodzi na stopień prawdopodobieństwa, a w ostatku staje się rzeczywistością.

Pierwsi nasi historycy historyą polską oderwali od europejskiéj i pogardziwszy, jakby przez *liberum veto* zdaniem większości, swoją cząstkę uznali za oddzielną całość i postawili naprzeciwko. Zrządziło to wielkie szkody w literaturze, a kto wie, czy i nie w życiu narodu. Lelewel pierwszy postrzegł, że trzeba w dobréj wierze godzić Polskę z Europą; pierwszy porzucił kłótnie odwieczne, a między wielu artykułami uznał bez zastrzeżenia i lennictwo pod Wartę za Ottona I., o które Polacy jeszcze pod Pawłem, Jozefem i Wilhelmem, jako o najwyższe ubliżenie godności narodowéj walczyli. Maciejowski traktatu przez Lelewela zawartego niedotrzymuje, ale większe niż przodkowie przeciwko historykom europejskim zbiera siły, bo już nietylko między Odrą a Dnieprem, morzem Baltyckiém i Czarném, ale po całéj Słowiańszczyznie z rozszerzonemi granicami w głąb Azyi. Czy tę niby słowiańską historyą poprą tak dalece okoliczności, że się aż prawdą stanie, to tylko Pan Bóg wiedzieć może. Ale nasza wiara jest, że ludzkość, postęp, wolność dają życie, więc i o Europę kłopotu jeszcze mieć niepotrzeba, i Słowiańszczyzna z Europy a nie z Azyi siłę żywotną ciągnąć będzie.

Myśl społeczna w pismach Maciejowskiego nie zacieśnia się bynajmniéj w przywiązaniu do jednego kraiku, ale też nie jest kosmopolityzmem: między ojczyzną a światem stawia plemienność. Strona ta nie jest polska i filozoficzna, ale wschodnia i polityczna. Zapewne jest wypływem panowania od Nowogrodu Wariagów, a późniéj Mongołów, którzy wyuczywszy się słowiańskiego języka, słowiańskiemu braterstwu śmierć zapowiedzieli i o plemienności ledwieby mówić powinni.

Sprawiedliwość niech będzie Maciejowskiemu, że massę ludu od uciemiężenia uprzywilejowanéj mniejszości chciałby całemi siłami zasłonić: ma serce i bije mu dla ludzi. Nieraz, bez sztuki, stawia dowody swego czystego sumienia, ale mu zarzucamy, że atmosfera nadto wpłynęła na rozwijanie się przekonania jego.

Jęd. M.

Wyjątki z Stefana Czarnieckiego,

Powieści M. Czajkowskiego dotąd drukiem nieogłoszonéj.

(Dalszy ciąg.)

Szeroko i daleko rozwijały się tumany kurzu, i grubą mgłą zastawiły zaporę ciekawemu oku. Coraz bliżéj się przysuwa ta ziemska chmura piasku, kiedy niekiedy migoce błyskawicami stali, huczy wojenną pieśnią i brzmi dalekiem brzmieniem trąb wojskowych. Już tumany pyłu przywędrowały i nad rzekę, ciągną się na miasto; pomiędzy domami Pragi ukazały się mnogie hufce na Karczewskim szlaku, ale jeszcze ani twarzy ludzkich, ani barwy strojów, ani szerści koni rozróżnić nie można. Lud Warszawy wybiegł za miasto, i radośnie woła: nasi idą! nasi zbawce! Taki natłok, że ledwie dragonia mogła most oczyścić na przyjście wojska; z zamkowego ogrodu wszystkich oczy zwróciły się na ten most.

Po przedzie, na arabczyku białym jak mleko, z czarną grzywą i z czarnym ogonem, jedzie pan kasztelan Kijowski; na dżamecie rząd pyszny arabski, z frędzlami, kutasami, ze złotem i kamieniami drogiemi, i na panu kasztelanie strój kusy z arabska; katanka karmazynowa, szerokie szafirowe szarawary, za tyftykowym pasem

błyszczą bronie, a na głowie rogata czworograniasta polska czapka, na prawe ucho na bakier przewieszona. Zewsząd lud wołał: niech żyje Stefan Czarniecki, nasz zbawca! a pan kasztelan wąs podkręcał i pokłonami czapki na wszystkie strony dziękował; — niech żyje ojczyzna! niech żyje król Jegomość! — temi wyrazy odpowiadał na okrzyki ludu i wojska. Obok kasztelana po lewicy jechał kozaczy pułkowódzca na stepowym skarogniadym koniu, a po prawicy w czarnym kubraku i bobrowéj czapce, Ojciec Jezuita Dąbrowski, spowiednik i nieodstępny towarzysz kasztelana. Za nimi rotami ciągnął pułk kozaczy; majaczeją kraśne kołpaki, śnieją kontusze i szarawary, bieleją żupany; przy czerwonych pasach błyszczą krzywe atagany i szable, bez proporców kolczate spisy płotem w górze sterczą. Wyciągnąwszy szyje, kroczą stępą, konie za końmi, a jeźdźce kąpią harde czoła w nadwiślańskim powietrzu i głosem zawodzą rodzinne dumy Ukrainy; to dzieci stepu, Dnieprowi wychowańce, ulubieni i doświadczeni Semeny pana kasztelana. Daléj szły lekkie chorągwie, przed każdą trębacze gromkim pochodem trąbili, przed każdą rotmistrz hasał na dziarskim rumaku. Wszyscy jeźdźce po kozaczemu przybrani, tylko u towarzyszów przy spisach białe z czerwonem proporce powiewają, i polską barwą niosą rozkosz polskim oczom, u szeregowców na kruczkach przez plecy zawieszone strzelby; każda chorągiew ma swój sztandar, datek drogi któréjś z królowych polskich. Za niemi postępowały pancerne znaki Wiszniowieckich, Zbarazkich, Mniszchów i Zborowskich; chłop w chłopa silni jak dęby, przybrani w brzeszczotowe koszulki, w misiurkach na głowie, przy boku szerokie i długie miecze, a w prawém ręku ogromne kopie z proporcami; to ostatnie szczątki tego żelaznego rycerstwa, z którém tyle dokazywał Stefan Batory, Jan Zamojski, Stanisław Żołkiewski i Karól Chodkiewicz; a jeszcze ci pancerni wydawaliby się, jak dzieci przy olbrzymach, przy husarzach Bolesławów, Łokietka i Warneńczyka. Przy pancernych znakach trębacze trąbią, pałkierze w kotły walą, a sztandarowi rozwinęli na wiatr chorągwie z herbami właścicieli znaków. W końcu szło kilka wozów i ciury z luźnemi i jucznemi końmi; za niemi jeszcze chorągiew lekkiéj jazdy, a na samym końcu ku podziwieniu wszystkich, wojewodzic Kaliski z twarzą obwiązaną chustką, pan starościc Zakroczymski, pan Wąsowicz i hrabia z Châtre, pod strażą namiestnika i kilkunastu towarzyszy. Król, królowa wrócili do komnat, a niebawem wszystkie panie i panowie, czy ciekawością, czy uczuciem pociągnięci udali się za niemi.

Pan kasztelan, jak zsiadł z konia, tak prosto walił na pokoje królewskie. Królowa Imość podała mu rękę do pocałowania, a król Jegomość witał go uprzejmie: »Witajże nam panie kasztelanie Kijowski, przybywasz w opłakanym stanie naszéj ukochanéj ojczyzny, spieszmy na jéj ocalenie.« — Pan kasztelan królowę pocałował w rękę, królowi nisko się pokłonił, pokręcił wąsa: »W Bogu nadzieja i w naszéj szabli, miłościwy królu i panie, niech jeszcze Polska niepłacze. Póki jéj synowie mają ręce i żelaza na wroga, a serca do bitwy, Bóg pozwoli, że na szablach wroga rozniesiemy, a Waszéj królewskiéj Mości tron szwanku nieponiesie.« —

Jan Kazimierz spojrzał na królowę, a widząc, jak jéj błyszczące oko wpatrywało się w postać bohatera ze czcią i uwielbieniem, wojennym zapałem i swoją zasmuconą twarz rozjaśnił: »Panie kasztelanie, jakże sądzisz, czy się okopiemy w Warszawie i czekać będziemy na przybycie pana Leszczyńskiego, któregośmy wysłali do Karola Gustawa; czy też wyszlemy nowego posła z żądaniem, aby ustąpił z kraju, i z doniesieniem, że mamy wojska na potrzebę walki? może to go opamięta.« — Pan kasztelan pokręcił ręką brodę — »Nie Polaka to obyczajem czekać na wroga, albo pytać o jego mnogość: gdzie on jest, tam my chodźmy, a szable nasze potrafią go przeliczyć. To polskie posły!« — i uderzył ręką po rękojeści karabeli — »takich tylko posłów do wroga, używać przystoi polskiemu narodowi i królowi polskiemu, tak zawsze robili Waszéj królewskiéj Mości i nasi przodkowie, i nam należy w ich ślady wstępować.« — Król zdumiał się, i choć w obec wielu panów niemógł wstrzymać słów, obrócił się do Ludwiki Maryi: »Ludwisiu, chciałbym zgody, ale pan kasztelan Kijowski nam dobrze radzi.« — Królowa trochę spuściła oczy: »Niewielu jest na świecie, co tak umieją myśleć i działać, jak pan kasztelan Kijowski.« — Stefan Czarniecki pokręcił znow wąsa — »Miłościwa pani, każdy Polak tak myśli i tak gotów działać, gdzie idzie o byt ojczyzny, o nieskazitelność królewskiego majestatu.«

Wszystkie niewiasty patrzały na Stefana Czarnieckiego; choć ospa tak bliznami poznaczyła twarz, iż lud Ukrainy zwał go rabym psem, choć w lewym policzku szram od kuli głęboko się zarysował; jednak w téj twarzy było coś pociągającego powagą i otwartością żołnierską, — czoło wyniosłe, czupryna podgolona, wąs zawiesisty, ku dołowi spuszczony, broda czarna, oko żywe błyszczące, nos ściągły, wzrost w miarę ani przerosły, ani niedorosły, kibić smukła, ręce małe, ale żylaste; taka żywość w ruchach, jak gdyby wszystkie członki były na sprężynach; za skórą widać, jak tam krew warem kipi, a na każde poruszenie gotowa wytrysnąć. Pięćdziesiąt i sześć lat Stefan Czarniecki przeżył, nie pod dachem, nie na pierzynie, nie na tańcach

i biesiadach, ale pod gołem niebem, na gołéj ziemi, ucierając się bez przestanku z wrogami Polski; a jednak ani wiek, ani trudy i znoje niesterały w nim ognia młodości. Im daléj w wiek brnął, tem więcéj wojennéj otuchy przyrastało rycerskiemu sercu. On mógł o sobie powiedzieć: wojna mnie zna i ją znam, ona mnie kocha i ja ją kocham, bez siebie byśmy żyć niemogli. Głos miał troche dźwięczny, bo podniebienie srebrne; męstwem go nabył pod Monasterzyskami, pamiątka to serdeczna Bohunowéj kozaczéj kulki. Cała postać męża, miłe wrażenie robi na kobietach; bo kobiety umieją z postawy rozumieć bohaterskie serce, i sercem garną się do niego, jak słaba latorośle pod konary wielkiego dębu, przed upałami słońca, i przed nawalnicą burzy.

Król przystąpił do pana kasztelana: »Cóż to, za waszem wojskiem widzieliśmy już jeńców?« — »Miłościwy panie, swawolę zawsze i wszędzie trzeba pokarać; że dwóch szlachty zadość czyniąc swoim widzimisiom, zapomina, że ich krew należy ojczyznie, mniejsza oto, ale że dowódzca straży strzegącéj osobę królewskiego majestatu, poważa się na takie przekroczenie, to mu ujść płazem niepowinno.« — »Panie kasztelanie, dowiedziawszy się o tem, poleciłem panu Weslowi, aby zapobiegł złemu i napomniał młodzież; a teraz wstawiam się za panem starościcem, wszak jego przeznaczyłem na dowódzcę naszéj dragonii, która miała nam towarzyszyć do Krakowa.« — »Rozkazy Waszéj królewskiéj Mości są święte, ale ja z mego obowiązku jako prawy obywatel i sługa Waszéj królewskiéj Mości i jako doświadczony żołnierz, niemógłbym spokojnie patrzeć, aby osoba królowéj Jejmości i najdroższe skarby rzeczypospolitéj powierzone były opiece takiego szaławiły. Dla tego błagam Waszéj królewskiéj Mości o upoważnienie wybrania dowódzcy i oddziału, na tę ważną posługę. Królu i panie mój miłościwy! ty sam prowadź nas na wroga.« — »Przystajemy na wszystko, co żądasz, panie kasztelanie; ale prosimy o łaskawość dla twojego synówca, a pułkownika naszéj dragonii.« Potem obrócił się do zasmuconéj królowéj: »Ludwisiu, trzeba się rozstać, wymaga ojczyzna.« — Królowa powiodła do koła pięknem okiem — »Niestraszne mi żadne ofiary dla ojczyzny, która mnie przybrała. Niech skarby rzeczypospolitéj i panie dworu udadzą się do Krakowa, ja chciałabym dzielić niebezpieczeństwa i sławę Waszéj królewskiéj Mości, i pokazać Polsce, że dla niéj gotowam wszystko poświęcić.« — Kasztelan Kijowski podziękował schyleniem głowy: »Miłościwa pani, Polska wie o tem, i umie być wdzięczną. Przytomność Waszéj królewskiéj Mości potrzebną jest w Krakowie, w téj staréj stolicy Piastów i Jagiellonów. Tam jak matka i męstwem i radą przywodzić będziesz swoim dzieciom, z właściwego sobie miejsca. A teraz, miłościwy królu, pozwól, przedstawić sobie wojsko, którem przyprowadził z Ukrainy.«

Król i królowa i wszyscy wyszli z zamku przez boczną bramę wiodącą na krakowskie przedmieście. Wzdłuż ulicy, na prawem skrzydle, stały cztery znaki pancerne we trzy szeregi; daléj szesnaście lekkich chorągwi, towarzysze w pierwszym szeregu, szeregowce zwyczajnie poczet sowity w drugim, na lewym skrzydle pułk kozaczy, silny z dwudziestu sotni. Zaledwie wojsko ujrzało przybywających, wnet zabrzmiały trąby, zahuczały kotły i tysiące głosów zadęło jednym silnym wrzaskiem: »Niech żyje Jan Kazimierz! król i pan nasz! niech żyje Ludwika Marya, królowa i pani nasza!« — Jagiellońska krew zagrała w królu, zawołał: »Niech żyje wojsko polskie!« — a pan kasztelan Kijowski i za nim wojsko odkrzyknęło: »Niech żyje ojczyzna! cześć polskiéj koronie.«

Potem koleją kasztelan Kijowski, królowi i królowéj przedstawiał rotmistrzów, a kiedy przyszedł do kozaczego półku, rzekł: »Przedstawiam Waszym królewskim Mościom Semena ze Swiatopełków Teterę, pułkowódzcę kozaków wiernych koronie polskiéj. Jest on synem Iwana Tetery, któremu świętéj pamięci król Stefan za rycerskie czyny nadał starostwo Cudnowskie, a ojciec Waszéj królewskiéj Mości podkomorstwo Owruckie. Syn godny ojca. Za przyzwoleniem Waszéj królewskiéj Mości, Teterze i jego kozakom powierzam straż przy osobie królowéj Imości i skarbach rzeczypospolitéj; jemu ufam, jak samemu sobie.«

Słowa te z ust do ust przelatując, doleciuły do uszów panien dworskich. Anna Sapieżanka i panna Lanckorońska obiedwie się zarumieniły, panna Grosouvre rzekła z cicha: »Otóż i węzełek prawdę powiedział. Panna Anna niechciała ciągnąć, a tak ani jednéj, ani drugiéj pan starościc się nie dostanie; a co gorsza, w miejsce grzecznego kawalera będziemy miały dzikiego kozaka; płaczcie moje panny.« — Panna Potocka przerwała: »I Pani takoż niechciałaś ciągnąć i straciłaś starościca; ale niemamy czego płakać, ja znam pana Teterę, nie pozrze nas, grzeczny człowiek, wychował się w domu pana Lanckorońskiego, razem z Joasią; nie taki on kozak, jak ci z Zaporoża, o których Mazury i Litwini powiadają, że połykają ludzi, jak smoki bajeczne. My Ukrainki tym waszym bajarzom niewierzymy; przypatrzcie się jemu, czy nie ładny? Panna Ludwika, Anna i Joasia niech płaczą, ale na to lekarstwa niema.« — Panna Lanckorońska rzuciła okiem na pułk kozaczy, Sapieżanka uśmiechem chciała spokojność udać. Ludwika

Grosouvre nie taiła swéj nieradości. Panna Potocka ciągle się śmiała: „Niema złego, coby nie wyszło na dobre. Joasiu, będziemy rozmawiały o naszéj rodzinie, o znajomych, o Ukrainie, ty się pocieszysz i panna Anna się pocieszy; wszak tylu paniczów i polskich i francuzkich jedzie z nami.«

Z tyłu za temi pannami hrabina z La Grange ze złości się nieposiadała: »Otóż to człowiek z niczego, co wszystko winien swojéj szabli. Hhrabiego z Châtre szlachcica od czasów Karola Martela aresztował, a nam za straż daje kozaków? Ten grubiański naród ludożerców; lituję się nad Polską, bogdaj przepadła twoja drobna szlachta. O, żeby mnie prędzéj ujrzeć błogosławione brzegi Sekwany, piękną Francyą! Z Krakowa wprost odjeżdżam; jużbym to dawno zrobiła, gdyby nie moja Marysia.« — Pani Krakowska zbliżyła się: »Uspokój się, moja kochana hrabino. Wszak mój mąż z nami jedzie i pan Jan Klemens Branicki, marszałek nadworny; przy nich będzie władza, kozacy tylko do posług dodani.« — »Mąż pani, pan kasztelan Krakowski, to niepowiadam, ale pan marszałek nadworny, już się zaprzedał Czarnieckim, on stara się o rękę panny Alexandry młodszéj córki tego dziwnego szlachcica rębacza. Zobaczysz moja dobra pani, że oni nas gdzieś utopią w rzece, albo zamkną w klasztorze; wolałabym Szwedów, jak ten pogański naród; między Szwedami są nasi Francuzi.«

Nadejście królowéj i króla przerwało rozmowę; po przeglądzie wojska wszyscy do zamku wrócili, a pan kasztelan Kijowski poleciwszy Szandarowskiemu rotmistrzowi pancernych znaków, wyprowadzić hufce za zastawę ku Woli, i tam stanąć obozem na odpoczynek, sam spiesznie jął się krzątać koło rozporządzeń wojennych.

W mieszkaniu pana Wesla na Lesznie, w obszernéj izbie siedziało czterech mężczyzn, a przededrzwiami w sieniach stało na warcie dwóch towarzyszy z Inflandzkiéj chorągwi pana starosty Makowskiego.

»Powiadam Waszmościom, że wszystko z kiepska po węgiersku się robiło. Naprzód czego hyło leść pod Grochów; to Waćpana upor mości staroscicu, żeby nieodstępować powierzonéj ci straży. Otoż masz teraz, czego chciałeś; siedzisz po uszy w straży, a potem szczepiliście się, jak indyki; ja wołam, aż mi gardło boli: jacyś jeźdźce kopią ku nam! wyście pogłuchli, a to przeklęte Francuzisko wrzeszczy, gdyby kawka — naprzód — daléj — to nic, jeszcze — i skacze, jak opętane koźle — a tu i pan kasztelan! zdechł pieś, ani w oczy mu nieśmiałem spojrzeć. Z początku nic nie mówił, ale jak się dowiedział, że Waszmość mości staroscicu jesteś dowódzcą dragonii, i trzymasz straż koło zamku i z prawéj strony Wisły, to musiał djable się rozsierdzić, bo kręcił ręką brodę, jak gdyby ją chciał urwać; to zły znak, kazał wszystkich aresztować; Waszmość mości staroscicu i ja pójdziemy pod sąd.« — »A ja?« zapytał wojewodzic z podwiązaną chustką na przepłatanéj twarzy. — »Waszmość pana odeszlą lizać się w Kaliskie; on z paniczami nie lubi się porać. A kto wie, może i każe rozstrzelać. Djabli nie śpią, jak się rozochoci pan kasztelan, to korowodów nie lubi robić.« — »Jak to? mnie szlachcica polskiego, syna wojewody rozstrzelać? jakiem prawem?« — »Jak rozstrzela, to go zapytasz Waszmość o prawo. Ja to tylko wiedzieć mogę, że pan kasztelan przyszedł tu z wojskiem, od króla może uzyskać prawo miecza.«

Hrabia z Châtre zapytawszy wojewodzica, o co rzecz idzie, zawołał po łacinie: »To i mnie cudzoziemca, gościa waszego, spotkać może jaka kara?« — »I Wasza jaśnie wielmożność z takiego ciała i kości, jak i my; kula się go imie, a sznur utrzyma na szubienicy.« — »Przez niebo, wasz pan Stefan Czarniecki jeszcze gorszy, jak nasz kardynał minister; ten za pojedynki wieszał tylko szlachtę francuzką, ale cudzoziemców się nieimał.« — »Panie hrabio, cudzoziemiec niech palca między drzwi niesadza, a kiedy zgrzeszył na polskiéj ziemi, to niech na polskiéj ziemi i odpokutuje.« — »Na moją brodę przysięgam, że mu oczy wydrę!« — Wojewodzic porwał się z miejsca: »Zgniotę szlachetkę, nim ręką sięgnie po mój włos.« — Staroście Zakroczymski przyskoczył do niego: „Co to, Waszeć ubliżać będziesz mężowi zasłużonemu w ojczyznie, mojemu stryjowi!« — Wąsowicz z zimną krwią roztrącił obudwóch: »Wara mości panowie do czubów, zgoda! w areszcie się nie biją.«

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Przegląd pism.

Moje wspomnienia, *przez* ***Alexandra Jełowickiego.*** *2 tomy.* 1839.

(Ciąg dalszy.)

Autor powrócił po ukończeniu nauk w Warszawie do domu rodzinnego; opisuje życie wiejskie, a w dalszym ciągu wycieczki i podróże już to do okolicznych miast już też daléj przedsięwzięto. Opis życia Czerkiesów nader zajmujący, nie mniéj i rozdział o kontraktach Kijowskich, o Kamieńcu. — Był też i w Berdyczowie, bo jakże nie widzieć tego miasta, co jak Kijów w czasie czterech jarmarków swoich jest zbiegowiskiem ukraińskiéj, podolskiéj i wołyńskiéj szlachty; tego miasta, co leży w środku ziem ruskich i całą Ruś jakby serce ożywia. Jak tylko (pisze autor) jaka ważniej-

sza kupiecka a pilna robota, tak do Berdyczowa; jak tylko jaki ważniejszy sprawunek, czy gospodarski, czy domowy, do Berdyczowa; jak tylko potrzeba nowożeńcom koni i powozu, pannie młodéj wyprawy, pijakowi wina, kosterze gry, jakiemu młokosowi bójki z nieprzyjaciółmi naszemi, tak do Berdyczowa. Jedzie kto z Ukrainy w dalszą nieco podróż — a którędy bracie? na Berdyczów. Między młodzieżą nie ma półgodziny rozmowy, aby Berdyczów, niby Paryż jaki na plac nie wyjechał. Berdyczów każdemu wygodny, każdemu po drodze, ztąd przysłowie: *pisuj do mnie na Berdyczów*.

Opis Berdyczowa i jego jarmarku jest doskonale skreślony; i przypomina wyborne opisanie jarmarku na Polesiu Kraszewskiego: Wjeżdżasz do miasta (mówi autor) zajęty wspomnieniami, a tu cię z marzeń twoich budzi wrzask żydów, co szarpią twój powóz, twoich ludzi, twoje konie, ciągnąc ten do siebie, ten do siebie, a wrzeszcząc; i to jest sposób zapraszania do zajezdnych domów, z których każdy jest zwyczajną żydowską karczmą polską, trochę czasem porządniejszą. Tylko coś wszedł do gospody, musisz drzwi zamykać przed *faktorami* i kupczykami; zamknąłeś drzwi, oni w okna lizą, — zamknąłeś okna, oni przez szyby pokazują swoje noże, brzytwy, grzebienie, ołówki; krzyczą, hałasują; jak co u którego kupisz, drudzy go biją za to; i tak przed każdém domostwem. Skoro drzwi otworzysz, wpada kupa żydów, faktorów, i naprzykrzają się, nastawiają się, żeby uderzyć, ażeby potem za to zapłacić. Wyjdziesz na ulicę, to ta hałastra w około ciebie uwija się jak komary, i nie ma innego sposobu odegnać się od niéj, jak wziąść *faktora*; *faktor* jest to niby karta bezpieczeństwa po brudnych ulicach berdyczowskich; on rozpędza motłoch, a na karki swoje zbiera wszystkie kuxy zazdrośnych towarzyszów; on długim a obdartym szarafanem zamiata przed tobą ulicę; idziesz gdzie chcesz, *faktor* wszystko pokaże, przeprowadzi bezpiecznie przez ulice pełne kramów żydowskich i wrzasku, a z każdego kramu jak z klatki żydowica z głową oprawną w złoto i perły, piszcząc przeraźliwie wychyla się jeszcze po twoje srebro, a w oczach każdego żydzinka taka chciwość i przebiegłe szachrajstwo, że trudno ci pogodzić litość dla tego narodu z pogardą; szczęściem, że go nieobchodzi uczucie twoje. Kto chce obywatelić żydów, zapraszam go do Berdyczowa, a jak mu się uda, to mu powinszuję. Kto zgadnie za kim są żydzi, to będzie mądry. Mnie się zdaje, że są za sobą, to jest za tym kto silniejszy, albo kto im lepiéj zapłaci. Jak rząd rossyjski zaczął brać w rekruty żydów w Berdyczowie, w téj stolicy żydowskiéj gdzie najbogatsi żydzi, najwięcéj *bankierów* i przemycaczów żydowskich; gdzie jest rząd żydowski, trzymający na nieszczęście w garści swéj cały przemysł ziem naszych, rząd mający swoich szpiegów i *faktorów* przy rządzie rossyjskim, rząd mający swoje stosunki zagraniczne, swoich gońców, swoje dzienniki, swój skarb, swoją pocztę, latającą co dzień czterokonną budą do drugiego państwa żydowskiego do Bredów po towary zakazane; w tym sławnym Berdyczowie, w téj polskiéj Jerozolimie, był sądny dzień. — W czasie powstania na rynku berdyczowskim spokojnie sobie stały działa; a po powstaniu, kiedy już były nienabite, waleczni żydzi berdyczowscy ukradli dwa działa, mówią że z miłości dla Polaków; prędzéj jednak dla tego, że działa były miedziane i że za pomocą ich już z tych dział musiał powstać jaki kocioł gorzelniany.

Nie cały jednak Berdyczów tak zapługawiony; jest od Machnówki porządniejsza część miasta, gdzie kilka pięknych kamienic, w których sklepy winne i piękne kramy z towarami; ale na nieszczęście wszystkie te bogactwa są własnością cudzoziemców. Bo gdzieżby tam szlachcic polski kupczył, kiedy do kupiectwa niepotrzeba przesądów, a u nas ich pełno, kiedy do kupiectwa trzeba obrotności i pracy, a my choć sprytni ale leniwi. Poprawim się może kiedyś. — Do tych czas chłop rolę uprawił, zasiał, zebrał, ziarno zawiózł na targ, albo na wódkę przepędził, bydło wyhodował i gdzie trzeba zapędził wszystko na rozkaz pana. Pan przedał naładował trzosy; jeden jedzie za granicę wytrząsać z niego złoto, jakby to był piasek; drugiemu dosyś do Berdyczowa zajechać, za jednę część trzosa kupi wina albo przepije, drugą przegra, za trzecią nakupi strojów dla żony, różnych cacek niepotrzebnych i zegar grający, bo sam grać nie umie, a jak się zgra na tym zegarze odegrywa się — ot i po trzosie; trzeci człowiek porządny, gospodarny i takich nie mało, ten i chłopa zapomoże i radby całe gospodarstwo podnieść; wie, że są na świecie *machiny*, czuje ich dobrodziejstwa, ma gdzie i ma zaco postawić więc sprowadza mechanika, ile możności cudzoziemca, co i nie wiele umie i z chłopem się nie rozmówi, a zwykle okpiwacz; stawi a stawi, buduje a buduje, pan czeka a czeka, płaci Francuzowi albo Niemcowi a płaci, Niemiec rozkoszuje w pańskim domu, nakoniec stanęło czepiradło, jeżeli to młockarnia, to pewno nie młóci, jeżeli to młyn, to pewno nie miele. Jeden z takich młynów stoi w samym Berdyczowie na przestrogę całéj szlachcie polskiéj; wspaniały, kosztował 100,000, wygląda jak wieża babilońska, przy któréj język i mózg mechanika cudzoziemca pomieszał się, i młyn nie mel, nie miele i mleć nie będzie.

Nie zna Berdyczowa, kto go nie widział w czasie jarmarku; nie zna szlachty ukraińskiéj, kto jéj nie widział w Berdyczowie na Onufreja, a przynajmniéj na Preczyste. Sześciu szlakami ciągną do Berdyczowa tabuny i zgony, hurmy i stada; sześciu szlakami prowadzą konie powodne, zwożą powozy, sprzęty gospodarskie i wszelkie towary. Już wszystkie stajnie Berdyczowa pełne koni, wszystkie sklepy pełne towarów, wszystkie klatki na Machnowieckiéj ulicy pełne tabuńskich koni, po wszystkich błoniach pełno wszelkiego bydła, wszystkie piwnice pełne wina. Dopiero wtedy szlachta polska z dworem jak kto może licznym, w strojach jak kto może nowych a swojego wymysłu, sześciu szlakami wali do Berdyczowa, i wierzchem, i wozeczkami, brykami i kolasami, młodzi, i starzy, i panie polskie ze ślicznemi córkami. Wszystko to jedzie jarmarkować, co znaczy, i kupować, i przedawać, i bawić się, i hulać, i tańczyć, i żenić się, i ogrywać, i zgrać się; co się komu podoba, wszystkiego dostanie.

Owo jarmarkowanie trwa cztery tygodnie, a w mieście taki hałas, taki zgiełk, a każdy tak zajęty, tak się spieszy, jak gdyby jarmark téjże godziny się kończył. Każdego dnia od rana do południa otwarte stajnie, konie wymuskane srogiem okiem patrzą, rzucają się jak gdyby chciały wszystko rozburzyć, bo świerzbią baty nocne, albo pieprz gryzie, albo też i krew w koniu niecierpliwa, krew polska. Od rana do południa wodzą ręczne konie po Machnowieckiéj ulicy, przejeżdżają się dżusy na dżusach. Po stajniach i po ulicach targi na konie, a przy tych targach szczególne przypowieści, zachwalania, omawiania wad końskich, zaklęcia koniarskie, tak, że nigdy nie zgadniesz co prawda. Nie jeden kupił ślepego, nie jeden pjanego, nie jeden wydętego, nie jeden ukarmionego wapnem, starego za młodego, kalekę za zdrowego; a ten co cię okpił, kpi jeszcze, a jak mu się skarżysz powiada ci:

»Od żłobu do żłobu.«

»Kto kogo okpi, chwała Panu Bogu.«

Jeszcze i Boga miesza do szachrów swoich. Bo to szczególniejsza moralność na tym świecie; każdy poczciwy — tylko koniarz mówił sobie, że będzie oszukiwał na koniach; myśliwy, że będzie polował na cudzym gruncie i cudze psy do siebie zwabiał; literat, że będzie książki pożyczał a nie oddawał; kupiec, że będzie okpiwał tylko na tym towarze którym kupczy; z resztą wszyscy poczciwi, i jeszcze koniarz wykrzykuje — czyż to się godzi psy kraść! myśliwy trąbi — czyż to się godzi na koniach okpiwać! — i tak daléj.

Jedna tedy szlachta okpiwa i okpiwa się na koniach po stajniach i po ulicach, druga w tabunach tatarskich wybiera sobie dzikusy, na których będzie za wilkiem uganiać; trzecia za rogatkami Białopolskiemi. Tam przeszło sto tysięcy rozmaitego bydła zaległo obszerne błonia. Woły ukraińskie z rozłożystemi rogami, ogromne jeden w drugiego, srebrno-siwe jeden w drugiego, gdyby woda, a spasne; jedne ciągną od wody niby rzeka, drugie w ogromny hurt skupiwszy się, stoją niby jezioro. Tysiące owiec tam beczy, tysiące wieprzów kwiczy, bydło ryczy, a wszystko wesoło

przy rannym chłodzie, wybrykuje za znak szczęścia; a tysiąc hajdajów klaszcze z biczów, i po swojemu ofukuje i pilnuje bydło swoje. Tam szlachta, jedna już targu dobija, druga pod szałasami już pieniądze liczy, trzecia zajada i już zapija sprawę, inna trzyma się w cenie, zmawia się i do Włodawy się wybiera; a żydzi wszędzie faktorują, szachrują i okpiwają.

Młodzież mizdrzy się do panienek; przez całe rano odwiedziny jedne po drugich, dziewczęta przemigają się chłopcom jak kwiaty pędzącemu czwałem po łące, a dziewczętom stają przed oczy coraz nowi chłopcy, tak jak młoda ich wyobraźnia stawia im przed płochą myślą coraz nowe widziadła. Po objedzie bydło i konie wychodzą na wypas, po objedzie już mniéj robót więcéj zabawy. Jedni drugich zapraszają, objady gromadne, sute, jako zwyczajnie u nas na Ukrainie, wesołe, jak to zwyczajnie u szlachty polskiéj, a jeszcze z kobietami.

Po objedzie pierwsza część zabaw, konne wyścigi. Tam to dopiero powszechne wyścigi na piękność i stroje kobiet, na przepych powozów i cugów, na dzielność koni, na zręczność jeźdźców. Co żyje w Berdyczowie, wyjeżdża za Machnowieckie rogatki. Lśnią się złociste szory, ale piękniejszy połysk wymuskanego konia, co tak błyszczy wodą, jak gdyby brylant; toczy się powóz za powozem, a każdy wygląda, jakby pęk kwiatów, bo w każdym pełno pięknych kobiet, strojnych w kwiaty i w pióra, w perły i w brylanty. Chcesz wiedzieć, która najpiękniejsza? ta co najmniéj strojna, bo u niéj oczy brylantami, ząbki perłami, kraśne lice kwiatami; takie były trzy panny Puławskie, którym po rodzicach zostały, piękna sława i wdzięki, a one i jedno i drugie, od skwaru świata przysłoniły skromnością. Powozy w kilka rzędów wyciągnęły się wzdłuż drogi, a młodzież pomiędzy powozy szaleje koniem, tak jak ich myśl szaleje obrazem kochanki. Tam się napatrzysz, jak to szlachta polska harcuje; tam się przekonasz, że się nie odrodziła i w najodleglejszych pokoleniach nie odrodzi od przodków swoich; zalotna, dzielna, żwawa, rycerska, każdy gotowy żołnierz.

Kiedy już wszyscy na swoich miejscach, a słońce już trochę ostygło, wtedy Mirzowie Tatarscy ze szlachtą polską pędzą na wyścigi, milę blizko, od lasu ku miastu, po płaszczyźnie, co się nieco w górę dźwiga. Skoro ich spostrzegą, z razu zaszumi szmer pomiędzy patrzącymi, a potem cicho — każdemu serce wali młotem, bo wielkie zakłady, bo każde współubieganie się wzbudza przychylną uwagę, bo wszyscyby radzi, żeby Polacy wygrali i tak też bywa. Po caléj przestrzeni rozlega się tentent ścigających się koni, co z daleka dochodzi ucha niby uderzenie pulsu, — wzmaga się coraz a coraz — jeźdźcy zbliżają się — konie wyciągnięte, jak charty — już już mety dobiegają, — już zdaje się, że ten wygrał, i wszyscy go chwalą przeciągłym okrzykiem; aż tu często ostatni rozwija zapas nowéj siły — wyrzuca jednego po drugim — stanął u mety — a nim najtęższy koń po nim doleciał, on się już zwrócił, i dumnie patrzy na swoje zwycięstwo.

Po wyścigach wszystko ciągnie do Berdyczowa, tak jak z niego wyciągnęło, tylko jeszcze tłumniéj jeszcze gwarniéj. Temu, czyj koń zwyciężył, zdaje się dnia tego, że król, ale drudzy nie myślą o nim, bo każdy już tylko o tem myśli, która z dziewic wyścignie inne prostotą i wdziękiem, która dzisiejszéj uczty będzie królową; każdy myśli, że jego kochanka, tak jak każdy myślał, że jego koń wszystkie wyściga.

Przez cały ciąg jarmarku, uczty, widowiska, muzyki, roboty i szulerka; a pod koniec zawsze jakaś zabawna sprawka, zawsze jakieś nowiny, co żydowską pocztą lecą prędzéj jak gończy, zawsze jakiś dziwoląg, co bawi szlachtę a straszy Moskalów i Żydów.

Tak szumny jarmark bywa tylko na *Onufreja*, chociaż główniejszych jarmarków w Berdyczowie jest cztery do roku, a każdy z nich trwa blisko cztery tygodnie. Onufrejski jarmark przypada 12. Czerwca, Preczyste 15. Sierpnia, Kuźmy i Damiana 1. Listopada, a Pochwalne 24. Marca. Na Onufreja i na Preczyste, jarmarki najliczniejsze; na Pochwalne, jarmark głównie na ogiery, bywa ich po kilka tysięcy; na Kuźmy i Damiana głównie na konie powozowe i wierzchowe. Tabuńskich koni nie masz na tych dwóch ostatnich jarmarkach, ale bydło, roboty wszelkiego rodzaju i pijatyka, zawsze bywają.

(Dokończenie nastąpi.)

Doniesienia literackie.

Z Krakowa donoszą nam: »Towarzystwo naukowe Krakowskie pokrzepiwszy swoje siły nowym statutem, który przez rząd tutajszy potwierdzony został, zabiera się z największą gorliwością do nowéj okazalszéj czynności; gromadzi fundusze i rozprawy, które w wydanych kilka naraz tomach roczników ogłosić zamyśla. — W krótce drukować się będzie część nowego statutu w języku łacińskim, dla rozesłania zagranicznym członkom. Nieprzestając na torowaniu nowéj drogi we wszystkich gałęziach literatury i nauk, myśli się zająć ich rozkrzewieniem przez książki elementarne. — Kończy się tu druk drugiego tomu Rocznika lekarskiego, który fakultet medyczny Krakowski wydaje.

List z Wilna, umieszczony w Nr. 31. Tygodnika, zasmucił wielu z tych, którym idzie o dobro literatury. Krytyk tak surowy dla Narbutta, niema dość pochwał na wychwalenie dwóch poszytów poronionych owéj nowéj bibliografii, a raczéj na wielką skalę »Historyi literatury«, — a na tych, coby się odważyli być innego mniemania, coby wiedzieli, że bibliografia nie jest nigdy i nie będzie historyą, zawczasu już rzuca potwarz i podejrzenie.«

Księgarnia i drukarnia polska A. Jelowickiego od 1. Października b. r. przeszła w posiadanie Juliusza Marylskiego.

Z Lwowa donoszą:

Stanisław Przyłęcki, były kustosz biblioteki Ossolińskich, wygotował do druku dwa ważne dla dziejów polskich dzieła, mianowicie:

Ukrainne sprawy w latach 1627, 28, i 29—z rękopisań współczesnych zebrane. Składają się z autentycznych relacyj, czyli raportów wojennych i listów po większéj części Stefana Chmieleckiego, sławnego pogromcy Tatarów, którym matki w Krymie straszyły swe dzieci; tudzież z listów hanów tatarskich, króla perskiego i sułtana tureckiego, pisanych do króla polskiego i różnych znakomitych osób. Wszystkie z małym wyjątkiem są w języku polskim i zawierają ciekawe szczegóły wyjaśniające stan rzeczy w kraju.

Pamiętniki o Koniecpolskich. Z wielką staranością zebrał tu wydawca dokumenta tyczące się działań téj rodziny, która tak przeważną rolę w dziejach polskich odgrywała, uszykował je chronologicznie, zapełnił przerwy z broszur i pism mniéj znanych i własnemi uwagami objaśnił. Zajmować będzie najmniéj 20 arkuszy druku. Pamiętniki te należą do najlepszych jakie się dotąd pojawiły. Oby tylko jak najrychléj przebyły szczęśliwie zawady, jakim u nas wytłoczenie książki podlega.

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata wynosząca na ten kwartał 1 Talar, przyjmuje się po wszystkich Królewskich Pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*